

Paweł Dzianisz

Moment kalendarzowy

Niebezpiecznie, ale i potrzebnie jest od czasu do czasu zatrzymać myśli nad kalendarzem. Zachęcony do tego okolicznością 40-lecia „Kalendarza Bydgoskiego”, przypomnianą mi telefonicznie przez kolejnego jego redaktora Jerzego Derendę, odszukałem tych kilka roczników, przy których (a może nie- skromnie wspominając: w których) byłem całym sercem jako zaangażowany rzecznik współczesnego regionalizmu, świątłego patriotyzmu dla małej oj- czyny.

Oczywiście, pamiętam ów pierwszy moment kalendarzowy. Wyszedł skromnie, w zielonej okładce z fragmentem zdjęcia kotwicy uwieszanej u dziobu barki, pewnie u nabrzeża bydgoskiego wyczekującej rzecznej na Brdzie pod- róży ku szerokiemu światowi. Jaki to był świat, jaki czas kalendarzowy, jaki ów rok 1968? Z mojego obecnego miejsca zamieszkania do poprzedniego nie tak znów daleko. Jesteśmy sąsiadami, ale przestrzeń, która nas oddziela, czas, który minął między narodzinami „Kalendarza Bydgoskiego” a rokiem jego jubileuszu, zdaje się być nakryty tajemniczą materią nieprzezwyteczalnej niepamięci. A jed- nak zdolnej do ożywienia, właśnie za pomocą tych tysięcy znaków drukarskich, ułożonych w myśli o dotykalnej rzeczywistości. Ileż to lat? Czterdzieści? Wra- cam pamięcią do przeszłości i czynię to z pewnego rodzaju nostalgią. Jak to za- brzmiało u Villona, tego łotrzyka, drapichrusta, a przytem urzekającego poety?

Żałuję czasu swej młodości.

Odeszła – ba, ni to piechotą,

Ni konno; pomkła iako zając;

Tak nagle uleciała oto...

Z namaszczenia więc Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy uka- zał się – historycznie rzecz biorąc – wznowiony „Kalendarz Bydgoski” na rok

1968, mający wypełnić – jakby się to dziś powiedziało – lukę medialną między historią a współczesnością, z misją rozbudzania wiedzy o dziejach tego skrawka ziemi ukamienionej nad Brdą, tego skrawka przestrzeni dla przeżywania radości i smutków kolejnych tworzących społeczną wspólnotę o cechach modelowanej własnymi myślami i własną pracą odrębności obyczaju, samopoczucia, a nawet gwary. Chciałbym się ustrzec patosu, który mógłby skazić i tak już podejrzany sentyment, ale przecież...

Jakiż to więc był ów rok 1968? Praska Wiosna, zdjęcie *Dziadów* ze sceny Teatru Narodowego, protesty studenckie, zawstydzające wejście także polskich wojsk do Czechosłowacji „w obronie socjalizmu”, doktryna Breżniewa, pierwszy załogowy lot „Apollo” w kosmos – mój Boże – a przy tem kawałek bardzo osobistego losu: jachtowa wyprawa „Eurosa” na podbój Islandii. W życiu moim pojawił się wytrawny żeglarz, wówczas młody i gniewny Olek Kaszowski, dziś stateczny dziadek wnukom i egiptolog-amator: werbował załogę ze Zbyszkim Urbanyim, Edkiem Bagniewskim, Edkiem Kunickim i Władkiem Rzeszutkiem, pod komendą Wojtka Orszuloka Wielkiego. Ileż to mieliśmy wówczas, daleko od wijącego się w konwulsjach świata, godzin przegadać z Olkiem na wspólnych wachtach, przewracając w pomysłach świat do góry nogami! Nie udało się nam, niestety, tego dokonać realnie, jak – na szczęście – nie udało się nikomu dotąd zepsuć go do końca.

A tymczasem, kiedy pozostawialiśmy za sobą bruzdę zaorywanych mórz, w Bydgoszczy Waleria Drygałowa (famiłarnie nazywana przez nas Drygalina), mogła już wertować kartki uzdajanego przez siebie „Kalendarza...”. Pojawiło się w nim bydgoskie calendarium historyczne, bardzo pożyteczny i silnie spójny z ideą kalendarza dział. O Brdzie napisał Józef Podgóreczny, niezmordowany szperacz bydgoszczanów, o starej bydgoszczy Róża Kulwiec, z którą jako prawnuczką Towiańskiego, zaznajomiła mnie właśnie Drygalina. W ogóle ciągała mnie po zarosłych perzem ścieżkach, cieszyła się, kiedy udało mi się odnaleźć miejsce pochówku powstańczego z 63 roku pułkownika Kazimierza Mieleckiego, jak i była nadzwyczaj ciekawa mojej rozmowy z Jakubem Wojciechowskim, robotnikiem z laurem Akademii Literatury. Och, Walerciu! Przecież i to ty pierwsza zaczęłaś snuć wątki Pitavala Bydgoskiego, który później pociągnął odkrywczo młody Derenda. Sam znalazłem się w „Kalendarzu...” poprzez publikację tekstu o domniemanym pobycie Mickiewicza w Bydgoszczy. Wkroczył do „Kalendarza...” i dr Władysław Czarnowski. Może go to pociągnęło do kolejnych wspomnień, które udało mi się później złożyć w książeczkę. Szkolne pisemko „Iskierki”, teatr objazdowy, o którym tyle naopowiadał mi Olek Lipczyński, wspomnienie Kazimierza Boruckiego o ratowaniu pamiątek narodowych, Aeroklub, kartki muzyczne Leokadii Gęsickiej, rewelacje Alojzego

Bukolta o roli Bydgoszczy w dziejach filmu polskiego, metryka „Łuczniczki”, którą potem w niezapomnianej współpracy z Mietkiem Andrzejewskim w pamiętnym happeningu przy dętej orkiestrze, wypucowaną troskliwie przez doktorową Jonscherową, ochrzciliśmy jako Pannę Annę. Zdzisiu Sosnowski napisał o sportowych gwiazdach bydgoskich – Tojo Kocerce, Krzysztofiaku, Jochmanie, Papie Stammie, piłkarzu Norkowskim i hokeiście Brzeskim, Jasiu Królik wspominał rodzinne Szwederowo... Ach, rok ów 1968!

W kolejnym roczniku „Kalendarza Bydgoskiego” (1969) znowu wiele wspomnień, przyczynków historycznych. A była to Bydgoszcz Grzymały i Turwida, Kowalkowskiego i Pietrzakówny, Hoffmana i Baszkowskiego, Sujkowskiego i Sulimy-Kamińskiego, Kummera i Rogowskiego, Bronisława Zygryda i Krzysztofa Nowickich, Licznerskiego i Szwalbego, Boruckiego i Podgórecznego, Esmana i Szymańdy; sam mieszkalem w domu, w którym na parterze dzwoniło się do utalentowanego hokeisty Gałęzewskiego, na I piętrze wybitnego taternika Micińskiego, a na II piętrze konstruktora słynnych tokarek automatycznych Podgórskiego. Niestety, nekrologia zegnała tego roku pierwszego powojennego starostę Leona Michalskiego, popularnego wyzwoliciela Bydgoszczy mjr. Franciszka Skiepurskiego, obrońcę Bydgoszczy w 39. Wojciecha Albrychta, popularnego felietonistę Stasia Atróbkę-Strąbskiego, zasłużoną nauczycielkę Eugenię Czarlińską. W następnym roczniku „Kalendarza Bydgoskiego” (1970) przyszło pożegnać jego redaktorkę Walerię Drygałową.

Tempi passati. Rozbiegli się i po świecie i po cmentarzach także moi dziennikarscy komilitoni – Gapiński, Jędrzyński, Kuta, Celichowski, Marszałek, Galus, Śląski, Gryczka... Sam wylądowałem w Gdańsku na lata pracy i teraz już emeryckie. Przedzieleni tylko granicą wojewódzką, rozproszeni, a bliscy wspólną pamięcią, w takim osobliwym momencie kalendarzowym możemy po cichu westchnąć wcześniej przywołanym Villonem:

Ach, gdzie niegdysiejsze śniegi!